

Recenzja z rozprawy doktorskiej p. Bartłomieja Patryka Gajosa pt. *Pamięć i rewolucja. Geneza polityki historycznej bolszewików 1917-1920*, Warszawa 2020, ss. 379, napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Andrzeja Nowaka

O ile badania nad pamięcią historyczną, polityką pamięci czy polityką historyczną (a właściwie politykami historycznymi) są obecnie, również w Polsce, całkiem popularne, o tyle zaskakująco niezbadany był, nie tylko zresztą u nas, jak się okazuje, problem podejścia do polityki historycznej bolszewików za czasów pierwszych lat ich nieutralizowanej jeszcze wtedy władzy. Z Autorem, sądząc z przypisów, mieliśmy sporo tych samych lektur. To z jednej strony ułatwiało mi czytanie, z drugiej zaś naraża Autora na mój potencjalny krytycyzm: zwykle mamy jakieś przemyślenia, a one akurat ani nie są, ani nie muszą być wspólne. Pisząc tę recenzję staram się o tym pamiętać.

Autor szczerze wyznaje, jakie były jego pierwotne plany i co się w nich zmieniło w efekcie pandemii, ale nie tylko i nie w pierwszym rzędzie z tego powodu. Ale to, co pan Gajos przedstawił jako rozprawę doktorską zawiera na tyle dużo interesującego materiału, że czytelnik szybko zapomina o tym, co było zaplanowane, a nie zostało, z rozmaitych powodów, wprowadzone do rozprawy. Uznając za sensowne wytłumaczenie powodów rezygnacji z porównawczego studium Moskwy i Tambowa, skoncentrujemy się na tym, co zostało ostatecznie przedstawione.

Konstrukcja pracy jest z pewnością interesująca i się broni. Obszerne wprowadzenie metodologiczne zawarte w części wstępnej wystawia Autorowi dobre świadectwo. Część pierwsza, z uwypukleniem postaci Władimira Friczego też jest uzasadniona, choć w różnych szczegółowych analizach tego, co Fricze robił przed rewolucją wydaje mi się zbyt szczegółowa, a niekiedy wprost przegadana. Tyle, że Autor uznał, że ponieważ niewiele na ten temat wiadomo, może i warto było poświęcić tym kwestiom więcej miejsca. Mniej spójna w zawartości jest obszerna część druga, poświęcona tytułowej polityce historycznej bolszewików w latach 1917-1920. Nie wiem, czy dobrym pomysłem było przerzucenie informacji o głównym – zdaje się – wkładzie Friczego w realizację polityki historycznej bolszewików, obelisku z Ogrodu Aleksandrowskiego, do punktu ósmego, poświęconego w dużej mierze kwestii narodowej. Gdyby Autor zdecydował się na druk monografii, do czego bym go szczerze namawiał, powinien – jak sądzę – przemyśleć ten akurat element konstrukcji.

Na tle powstających dziś w Polsce rozpraw historycznych praca p. Gajosa wyróżnia się dużą, naprawdę niebanalną świadomością teoretyczną i metodologiczną. Autor kwestiom tym poświęcił tak obszerną część wstępu, że jest to właściwie osobny rozdział, ale na tym nie koniec, bo ta perspektywa powraca w każdej kolejnej części pracy. Nie było to proste, wymagało od Autora kompetencji interdyscyplinarnych, łączących parę różnych, dość odległych dyscyplin. Ale takie właśnie powinny być i są poważne studia nad materią pamięci historycznej i – niekiedy – polityki historycznej.



To, że Autor trzyma głowę wysoko, powoduje czasem, że jest ona w chmurach, a te przysyłają mu niewygodną przyziemność. Gdy za Pierrem Nora mówi o „demokratyzacji pamięci”, charakteryzującej nasze czasy, a przejawiającej się w tym, że państwo, Kościół i rody przestały odgrywać kluczową rolę w kształtowaniu przeszłości, spytałbym: w jakim kraju Autor żyje, bo chyba nie w Polsce nad Wisłą. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte na teorię i równie szeroko zamknięte na rzeczywistość, by nie zauważyć teraz u nas tendencji dokładnie odwrotnej. Może jedynie rody wpisały się w „demokratyzację pamięci”, bo przecież nie państwo (w znaczeniu kursu obecnych władz i finansowanych, a nawet tworzonych przez nie specjalnie w tym celu instytucji) i nie Kościół. Gdy, skądinąd słusznie, Autor zauważa, że europejska pamięć związana z Holocaustem jest przykładem tego, że polityka historyczna może również przynosić pozytywne rezultaty, chyba jednak eufemistycznie wtrąca „pomimo wciąż istniejących kontrowersji w niektórych aspektach”. Natomiast bardzo jestem p. Gajosowi wdzięczny za przekład opinii Paula Valéry’ego o historii (s. 22). Stanowczo warto o tym czasem pomyśleć.

Jak już sygnalizowałem, w przypisach jest obfita literatura przedmiotu. Autor czasem nawet zrobił z niej twórczy użytek. I tak np. przeczytanie kapitalnej książki Richarda Wortmana nie poszło na marne, skoro p. Gajos dotarł do przechowywanego w archiwum scenariusza świeckiego pogrzebu Friczego i potrafił to zręcznie wykorzystać. W ogóle użycie tak obszernego materiału archiwalnego jest tej pracy poważną zaletą. Imponująco przedstawia się eksploracja archiwaliów rosyjskich. Niestety (Autor wyjaśnia, dlaczego się tak stało) gorzej poszło z materiałem z Ameryki, choć i stamtąd to i owo się udało uwzględnić. Świetna znajomość trudno nieraz dostępnej literatury przedmiotu, uwzględnienie różnorodnych nowych publikacji – to dodatkowy argument za wydaniem pracy drukiem.

By do tego doszło, potrzeba jednak jeszcze sporo roboty. Tu przechodzę do kwestii Bibliografii. To, niestety, część pracy, którą muszę określić jako niechlujną. Autor najwyraźniej się spieszył, nie zrobił sensownej korekty, dał nam groch z kapustą. W dziale czasopism niekiedy jest cały rocznik, np. „New York Times” (ale dlaczego akurat 1916?), kiedy indziej jeden lub parę artykułów. W dziale opracowań ani porządku alfabetycznego, ani chronologicznego nie uświadczysz. Czasem cytowane jest polskie wydanie, bez zaznaczenia wydania oryginalnego, kiedy indziej - przy istniejącym polskim przekładzie – wydanie oryginalne, bez wzmianki, że jest przekład. Czasem ta sama pozycja pojawia się (obok siebie!) dwa razy, i nie jest to efekt pomyłki kursora, bo opis się w szczególności różni (np. Slezkine, *The House of Government*). Klasyczna praca Mony Ozouf cytowana jest raz w polskim przekładzie (s. 115), kiedy indziej w angielskim (s. 278, tak, to ta sama książka!), by w bibliografii widnieć jedynie w polskim wariantcie. Właściwie to z racji chaosu w Bibliografii warto by tę pracę zwrócić Autorowi do poprawy, uznaję jednak, że byłoby to przejawem pewnej małostkowości. Sporządzanie bibliografii rzadko jest czynnością intelektualnie wdzięczną, ale to jednak nie znaczy, by to należało całkiem i ostentacyjnie zlekceważyć. Na koniec w tym wątku: może jestem przesadnie staroświecki, ale zawsze uczono mnie bym umieszczał w Bibliografii jedynie prace cytowane w przypisach. Autor postanowił inaczej i ma do tego prawo, trochę porządku w tym by jednak nie zaszkodziło.

Recenzent ma prawo stosować metodę kija i marchewki, więc teraz marchewka. Ze względu na obszerne ujęcie życia i działalności zapomnianego Władimira Friczego, rozprawa pana Gajosa jest szczególnie cenna. Rozdziały mu poświęcone składają się właściwie na małą monografię. Nie wspominają o nim współczesne opracowania naukowe, warto jednak zauważyć, że aż dwukrotnie występuje on w obszernych „Dziejach historiografii” Andrzeja Feliksa Grabskiego. Parę razy jest wspominany w kilku miejscach wartościowego



pięciotomowego wydawnictwa „Portriety istorikow”, niekiedy są tam nawet informacje chyba nieznane Autorowi, choć niespecjalnie dla pracy istotne. Sprawa wyboru nazwisk na obelisk w Ogrodzie Aleksandrowskim: Autora, słusznie, fascynuje nawiązanie przez bolszewików do dominikanina Campanelli. Kardynał Richelieu też go skądinąd doceniał, ale to nie wystarczało by Lenin czy Fricze postrzegali go (Richelieu’go) ciepło. Jest tam jeszcze ksiądz, bardzo przyzwoity, który na łożu śmierci okazuje się być zdeklarowanym ateistą (Jean Meslier), ale przede wszystkim, czego Autor chyba nie docenia, jest tam człowiek, którego Leon XIII ogłosił błogosławionym, a – już po postawieniu obelisku – Pius XI kanonizował: Tomasz Morus, męczennik za wiarę katolicką, ale czczony też przez anglikanów. To o wiele zabawniejsze niż umieszczenie na obelisku nazwiska prześladowanego przez Kościół dominikanina. Bolszewicy umieścili na obelisku nazwisko katolickiego błogosławionego, a mieszkańcy Moskwy czasów Stalina, Chruszczowa czy Breżniewa, chyląc czoła przed obeliskiem, oddawali cześć katolickiemu świętemu! Chyba już tego by było dość by pogratulować Autorowi wyciągnięcia Friczego z odmętów zapomnienia. Co do przyczyn popadnięcia Friczego wpierw w niełaskę, a potem w zapomnienie, Autor wraca do tej kwestii kilkakrotnie. I w sumie argumentuje przekonująco. Miałbym tu chyba i swoje trzy grosze. Stalin konsolidując swą władzę uznał, że bolszewizm jest pozbawiony głębszych rosyjskich korzeni. Nie Campanella był mu potrzebny, a postaci z przedrewolucyjnych dziejów Rosji. Nie byli mu potrzebni ortodoksyjni marksiści w rodzaju Pokrowskiego czy Friczego. Ci dwaj mieli i tak szczęście (Autor to zauważa): zmarli z powodów naturalnych. Niewielu starych bolszewików miało tego doświadczyć. Dlaczego jednak nie przywrócono Friczego po 1956 roku? Możliwe, że zabrakło ówczesnego zapotrzebowania na jego prace. Z przywróceniem Pokrowskiego też nie poszło łatwo i prosto. W międzyczasie zrehabilitowano takie ujęcia dziejów Rosji (i nie tylko Rosji), w których marksizm był albo nieobecny, albo obecny fasadowo: przypadek Jewgienija Tarle, choć przecież to nietypowy przykład. Pokrowski, w odróżnieniu od Friczego, zaproponował konsekwentną i spójną syntezę dziejów Rosji. To było zawsze w cenie, nawet jeśli dopuszczono inne warianty, dalekie od marksistowskiej ortodoksji, choć politycznie poprawne. A może studia nad literaturą, choćby z racji większego uteoretycznienia, starzeją się szybciej niż studia historyczne, w przeszłości często niezmiennie teoretycznie przez dziesięciolecia?

Łunaczarski i jego rola: Autor, za historiografią „rewizjonistyczną”, zwłaszcza za S. Fitzpatrick, ale również z własnymi argumentami, dowodzi istotnej roli Łunaczarskiego w pierwszych latach bolszewizmu. Ale tu z kolei trochę się dziwię, że nie wykorzystał wspomnień Walentina Zubowa, gdzie o Łunaczarskim i tej stronie jego aktywności jest i sporo, i ciekawie. Skądinąd, daleko nie miał: książkę wydało przecież po polsku Centrum Dialogu i Porozumienia.

Szkoda, że Autor nie skorzystał z dzienników Jurija Władimirowicza Gotje, wybitnego historyka, który za czasów bolszewickich ocalał, ale musiał zmienić radykalnie przedmiot swoich badań. Dzieło Gotje wywiózł z Rosji radzieckiej Frank Golder, a gdy potem przedwcześnie zmarł, dziennik trafił, z innymi papierami po Golderze, do kolekcji Hoover Library, został skojarzony z Gotje (wcześniej był anonimowy) przed Edwarda Kasineca dopiero w początku lat osiemdziesiątych, a następnie ukazał się w kapitalnym wydaniu angielskim zredagowany przez Terence Emmons. Jest już też wydanie rosyjskie. Dam tylko trzy krótkie przykłady jak pożyteczne to może być w rozważanym tu kontekście źródło. Cytuję wydanie angielskie, które mam pod ręką: 18 marca 1919: „The holiday of the Paris Commune and the funeral of President Sverdlov; I think that the Paris communards never imagined that the Russian barbarians would fete them a half-century after the charming



events of 1871, and the president didn't imagine that the holiday, in whose arrangement he undoubtedly took part, would be clouded by his own funeral". Nieco wcześniej, 19 lutego 1919 r., po spotkaniu z kolegium Ludowego Komisariatu Oświaty: „Comrade Pokrovskii chaired, and I never thought that he would conduct a meeting so laxly, poorly, and incompetently. N.K. Krupskaja-Ul'ianova-Lenina, the Russian empress-to-be, attended the meeting. I didn't expect her to look like she does: old and hideous, with the stupid face of a blind fanatic; her ugliness, moreover, is accentuated by clearly manifested goiter". (Jesteśmy w stanie rozumieć Lenina, który mógł szukać ratunku u Inessy Armand, tyle że ona wkrótce zmarła, a Krupska żyła długo). I, by nie było tak zabawnie, 12 marca 1919 r. Gotje odnotowuje wypowiedź Michaiła Bogosłowskiego adresowaną do niego i Matwieja Liubawskiego po dyskusji w Akademii z bolszewikami: „he revived upon seeing us after having spent six hours looking at ugly, boorish Jewish mugs”. [Wszystkie cytaty za *Time of Troubles. The Diary of Iurii Vladimirovich Got'e, Moscow July 8, 1917 to July 23, 1922*, trans., ed. et introduced by Terence Emmons, Princeton Univ. Press 1988].

Wreszcie kwestia stylu. Choć Autor umie sprawnie pisać, trafiają mu się bolesne wpadki, które powinny pana Gajosa zawstydić. Bo jak w jego przypadku nie zaczerwienić się na zdanie „Jedno z takich spotkań uwiecznił w niedokończonej powieści biograficznej Briusow, która nosiła tytuł 'Dekadenci' (s. 71). Czy, nieco później, ale w tym samym stylu: „W 1913 roku związał się z czasopismem założonym przez Siergieja Mielgunowa „Golos Minuwszego”, wówczas uznanego już historyka oraz działacza partii Ludowo-Socjalistycznej” (s. 95). Miewa więc Autor kłopoty z budową zdań podrzędnie złożonych, a niestety do takich go natura ciągnie. Co więcej, co jakiś czas pokazuje nam, że zna języki. W tym kontekście warto jednak może zadbać o poprawną pisownię: *toutes*, a nie *touts* (s. 61). Diabeł, jak wiadomo, tkwi w szczegółach. A najlepiej pisać prościej, przynajmniej tam, gdzie się da. I czy naprawdę trzeba popadać w kwiecistość stylistyczną pisząc zamiast Marks „niemiecki filozof z Trewiru”? Wiem, za wiele Marksa w pracy nie służy dziś autorom, ale może by pomyśleć nad jakimś krótszym synonimem? Co prawda - i w tym źródło optymizmu - na str. 218 Marks został skrócony do „filozofa z Trewiru”, już bez wskazywania na to, że był to filozof niemiecki, bo to przecież już Kołakowski nam powiedział. Niezręcznie przetłumaczył Autor tytuł artykułu Łunaczarskiego. Jest „Strzeżcie dziedzictwo narodowe”, a powinno być, obawiam się, „Strzeżcie dziedzictwa narodowego” (s. 149).

Podsumowując: lektura dysertacji doktorskiej p. Bartłomieja Gajosa dała mi sporo satysfakcji. Jeśli się niekiedy zżymałem na Autora, to całkiem naturalne. Ważne, że większość pracy nie pozwoliła mi się nudzić, a nawet kazała się zastanawiać. To już coś. Niezależnie od zawartych tu przytyków i złośliwości, szczerze uważam, że rozprawa spełnia wymogi stawiane ustawowo w przypadku doktoratów i z przyjemnością wnoszę o dalsze jej procedowanie w przewodzie i nadanie Autorowi stopnia naukowego doktora w dyscyplinie naukowej historia.

Lublin, 1-3 maja 2021 r.

